Ner 11. 1860. 10 Grudnia.

NIEWIASTA.

Z powodu kończącego się bieżącego i zbliżającego się nowego 1861 roku, proszę na tygodnik „NIEWIASTA“ łaskawie **Prenumerujących**, aby raczyli *pospieszyć* z przesyłką prenumeraty na przyszłość. Oczywiście, że Ci, co za pół roku, lub nawet za cały rok już zapłacili, nie potrzebują teraz nic nadsyłać.

Prenumerata wynosi:

W miejscu:			Z przesyłką pocztową (w ces. austr.)		
Rocznie	6 złr. —	centów wal. austr.	Rocznie	7 złr. 20	centów wal. austr.
Półrocznie	3 „ —	„ „	Półrocznie	3 „ 60	„ „
Kwartalnie	1 „ 50	„ „	Kwartalnie	1 „ 80	„ „
Miesięcznie	— „ 50	„ „			

Za Mody paryskie, raz na miesiąc dołączane, dopłaca się (kto je chce mieć) rocznie 4 złr. 20 c. w. austr. i w tym samym stosunku półrocznie i kwartalnie.

Prenumerujący w królestwie pruskiem, lub w ogólności w Niemczech i Francyi płacą rocznie z przesyłką pocztową 8 złr. 30 centów austryacką monetą, i w tym samym stosunku półrocznie i kwartalnie.

Prenumerata przyjmuje się w Krakowie w biurze Redakcyi *„Niewiasty“* przy ulicy Sławkowskiej, także w księgarni Baumgardtena i w innych dobrze znanych księgarniach.

Prenumeratę należy przesyłać franco.

Przystępujący łaskawie do prenumeraty od nowego 1861 r. mogą mieć za bieżący rok „Niewiastę“, gdy dopłacą kwartalną należytość.

Niewiasta będzie wychodziła w 1861 r. w tym samym co dotąd kierunku, w jednym lub półtora arkuszu tygodniowo; dołożymy jednakże wszelkiego starania, aby pismo w miarę pomnażających się funduszów potężniało, nie tylko co do objętości, lecz i co do treści.

Znaczna liczba **Prenumerujących** jest niezbędnym warunkiem wzrostu każdego peryodycznego pisma, bo najsumienniejszy i najbardziej dbały redaktor nie podoła swemu zadaniu, nie mając dostatecznego przypływu pieniędzy. Dzisiaj już nie dosyć mieć fundusz na opłacenie druku, stęplów, poczty; potrzeba go jeszcze, aby pozyskać stałych i zdolnych współpracowników, bo tacy tylko wedle pewnego planu pismu artykułów dostarczyć mogą.

Ufny w życzliwość łaskawie **Prenumerujących** od początku (a których słusznie i z wdzięcznością założycielami naszego pisma nazwę), śmiem Ich prosić, aby dla pozyskania nam więcej Prenumerujących, raczyli w Swoich kółkach użyć całego Swego wpływu. Dla ułatwienia Im trudu, dołączam do każdego egzemplarza niniejszego numeru, 3 egzemplarze **Zwrotnego listu**.

REDAKTOR.

O emancypacyi kobiet. — Słówko.

Nie tak to dawno, jak kwestya emancypacyi kobiet była kwestyą, jeżli nie palącą do reform i zmian stanowczych w społeczeństwie, to przynajmniej piekącą — języki licznych swoich apostołek i przeciwników. Dzisiaj, jak to mówią, przewaliła się ona, straciła swoją gwałtowność i rewolucyjność, niewiele za sobą pozostawiła śladów, i to większą częścią dosyć dobroczynnych.

Tak jest, szanowne czytelniczki moje, nie waham się tego powiedzieć, bo się będę starał dać dowód. Burza emancypacyjna była rewolucyą francuską w świecie niewieścim, a jakkolwiek rewolucya ta miała swoje straszności, jako to przebieranie się po męsku, afrontowanie opinii publicznej, cygara i tym podobne terrorystyczne objawy, sprawiła ona jednakże pewne zbawienne wstrząśnienie, które na umysły i serca kobiet z czasem dobrze wpłynęło. Extrawagancye upadły same z siebie, cel główny, podniesienie godności niewieściej, został osiągnięty.

Niewiasta na zachodzie przeszła smutne i upokarzające dzieje. W średnich wiekach stała na wysokiem i szczytnem stanowisku. Ludy germańskie czciły ją wysoko, widziały w niej wyższe, Boże natchnienie. Przez czternaście wieków panowała z mężem w jego zamku rycerskim, zapalała jako dziewica jego męstwo wojenne, tchnęła inspiracyą w struny lutni minstrela i trubadura. U jej rzęs długich tronował urok poezyi, która

cuda działała w barbarzyńskim na pół świecie. W jej uśmiechu łagodnym obrał sobie mieszkanie duch cywilizacyi, powściągający dzikość młodocianych narodów. Świętość opromieniała często jej piękną głowę, stając się drogą tradycyą ludom świata chrześciańskiego. To też postać jej uosobiała w symbolice średniowiecznej każdą cnotę i każdą mądrość. Beatrycze Dantejska obchodziła największy tryumf kobiety. Beatrycze była najgłębszemu z duchów średniowiecznych przewodniczką w niebo.

To wielkie chrześciańskie stanowisko kobiety zachwiało się stanowczo przez Reformacyą. Jeżeli w protestanckim świecie zbezcześciło ją małżeństwo z księżmi apostatami, to w katolickim zrzucił ją z piedestału rozłam między religią i moralnością a życiem, zrzuciła ją bigoterya i świętoszkowstwo, lekkomyślność w stosunkach miłosnych przy zewnętrznej praktyce religijnej istniejąca. Te dwa przeciwne objawy cechują szczególniej Francyą z jednej, Niemcy z drugiej strony. W Niemczech kobieta z rycerskiej pani spadła na pastorową, prozaiczną, gospodarną, ziemską; we Francyi stała się nieustanną zalotnicą, a intrygantką lub dewotką na starość. Racyonalizm protestancki i bigoterya bez ducha odebrały kobiecie ten tajemniczy talizman, który w średnich wiekach otaczał ją świętością w obec mężczyzn. Kobieta odtąd weszła w niewolę mężczyzny, wojowała miłością i intrygowała roskoszą, i z poszukiwanej, poszukiwającą się stała.

W protestanckiej Anglii widzimy Elżbietę angielską obok katolickiej Maryi Sztuart, obie wielkie kobiecości przedstawiające upadek. Katarzyna Medycejska otwiera we Francyi szereg kobiet, kokietek za młodu, intrygantek i dewotek na starość. W ostatniej chwili życia z piekielną myślą w duszy szepce kłamaną modlitwę. Nawet pomiędzy naszą Barbarą a królową Jadwigą co za przestwór ogromny! Ta nad miłość wznosi wolne czoło w niebiosa, tamta zupełnie usidlona w miłości.

Ten upadek kobiet gwałtownemi postępuje krokami. Francya, wysforowawszy się na polityczną i moralną prowadzicielkę Europy, świeci naprzód złym przykładem. Skromność traci swoją dziewiczą barwę, kobieta oswaja się z słowami szeptanemi wprzód cicho, a wyraz *maitresse* nabiera straszliwej dwuznaczności. Średniowieczna rycerska miłość psuje się na nowowieczną dworską galanteryą: świętość rodziny, podminowana nią, staje się śmiesznością w języku wielkiego świata a surowość wyrazu cnoty w elastycznem francuzkiem „vertu“ nabiera rozprężliwości, w której się nawet bezwstyd zmieścić może. Wiek Ludwika XIV jest pod tym względem stanowczą epoką. Dosyć wziąść do ręki nieśmiertelne pomniki tego czasu, komedye Moliera. Cóż jest ich treścią? Oto mąż oszukany przez zgrabnego kochanka, rodzice wywiedzeni w pole przez dzieci dowcipne, poczciwy prostak wystrychnięty na błazna przez przebiegłego łotra. A przecież jest moralność w tych komedyach, bo walczą przeciw hipokryzyi, pod której płaszczem więcej było złego, niż w jawnogrzesznikach ówczesnych. W uczucia serdeczne wśliznęła się wtenczas stanowczo owa samowola namiętności, łamiąca wszelkie zapory moralne i społeczne, samowola, która w wieku Voltaira i Ludwika XV stała się jawnym bezwstydem. Niepodobna nam wyraźnemi kolorami kreślić wieku, o którym piszemy. Przypomniemy tylko czytelniczkom naszym znane zapewne z tradycyi markize i wikomtessy francuskie, które niestety i u nas niemało znalazły naśladowniczek, w wysoko podczesanych włosach; pudrowane, z mocno wyciętemi sukniami, na wysokich stąpające koreczkach... czemże one żyły? Oto cała ich młodość, często aż do sześciudziesiąt lat trwająca, była jedną zależnością od mężczyzn, jedną intrygą miłosną. W romansach płynęło ich życie, bez przerwy, bez poważniejszego zatrudnienia. Nic nie było dla nich samych, dla zasobu duszy, wszystko dla salonu i dla romantycznych stosunków. A też stosunki same? Jakaż w nich ckliwość, śliskość, płytkość niesłychana? Jak nadwątlona wszelka godność kobieca, wszelkie granice wstydu?

Taką kobietę zastała rewolucya francuska. To też ta kobieta, bez czci i wiary, wyszła na ołtarz Panteonu i czczoną była jako bogini Rozumu, to znaczy jako reprezentantka rozdarcia wszelkich węzłów, które ją z niebem i Bogiem trzymały.

Kobieta rewolucyi i cesarstwa mało różniła się od ośmnastowiecznej. W piersi jej była ta sama ślepa, fizyczna, cielesna uległość mężczyźnie, ta chęć spotkania w pół drogi każdej jego żądzy. Kobiety rewolucyjne i cesarstwa atoli lubią heroizm i kochają bohaterów. To je stawia wyżej. Słabe i małego ducha oplotły się myślą o tych wielkich a libertyńskich ludzi, którzy z Napoleonem poszli świat cały zdobywać.

Ale w czasach tych, ogromnego wstrząśnienia duchów, zaświtała w pojedynczych duchach niewiast nowa era, wieszcząca im nową przyszłość.

Po nad ckliwo-sentymentalne autorki, jak pani Genlis, Cottin i Abrantez, wzniosła się kobieta z głową i sercem, prawdziwy Napoleon niewieści: Pani Stael. Pani Stael pierwsza podniosła sztandar emancypacyi, stawiając w Elfinie i Korynie swoję własną, bogatą w zasoby duszy osobistość, wbrew krępującym węzłom świata i społeczeństwa, magnetyzując tą wyższością cały ród niewieści. Od czasów pani Stael zaczyna się epoka exaltacyi idącej po za zwykłe romantyczne stosunki — chociaż naturalnie w tych stosunkach swego zaspokojenia pragnącej. Było to śmiałe poczucie się do tej wyższości, którą kobieta niegdyś posiadała, którą straciła w ciągu wieków, a którą dla dobra samejże ludzkości na nowo odzyskać powinna.

Dalszy, stanowczy, rewolucyjny krok uczyniła, jak wiadomo, pani George Sand życiem i czynem. Rewolucyjny powiadam, bo przecięła te związki, które pani Stael szanowała, przestając na pozie cierpiącej kobiety. Równocześnie z wielką burzą socyalnych żywiołów we Francyi, Sand podniosła chorągiew powstania przeciw upodleniu i niewoli kobiet. Zamiast przyczyn tego upodlenia i niewoli szukać w ich upadku, poczęła je wykazywać w niedostateczności socyalnych urządzeń i moralnych przepisów, powstała na nierozdzielność małżeństwa, na pozycyą społeczną kobiet i t. p. Przepełnione namiętnością serce jej zapragnęło wolności nieograniczonej, właśnie w tej chwili, gdy zaczęła apostołować nieskończone posłuszeństwo wszystkim zachceniom serca, a więc największą niewolę i największy upadek moralny. W tym kółku błędnem obracają się wszystkie dzieła pani Sand, dzieła, które poezyą swoją z elektryzowały świat cały, które przewrotnością swoją oburzyły wszystkich surowych moralistów. Pomimo tego była w nich wielka moralna strona. Pani Sand postawiła na nowo ołtarz dla *ideału*, postawiła go między kobietami oddanemi bałwochwalstwu materyi i próżności. Oto jądro jej myśli wypowiedziane w Lelii:

> Jeden jest sposób pracowania dla naszej wolności: oto zamknąć się w dumie naszej sprawiedliwej, zawiesić, jako córki Syonu, harfy nasze na słupach Babilonu i odmówić obcym ciemiężcom pieśni miłości. Będziem żyć w żałobie i łzach, zagrzebiemy się żywcem, odmówimy sobie słodkich rozkoszy familii i upojenia miłości; ale zatrzymamy pamięć Jerozolimy, zatrzymamy *cześć dla ideału*.

Przez to zaprotestujemy przeciw bezwstydowi i brutalstwu wieku, i przymusimy mężczyzn, aby nam przy boku swym dali miejsce nowe i przynieśli tę samą czystość przeszłości, tę samą wieczność na przyszłość, której od nas wymagają.

Oto jest wielka i zbawienna strona posłannictwa pani Sand: rozwinęła nieskończoność uczuć niewieścich, rozwinęła ją na obie strony, w górę i na dół, do ideału i błota, bo pani Sand jest dwuostrznym sztyletem dla kobiet. Jak wszystko złe, tak ujemna, szalona, rewolucyjna strona pism pani Sand przestaje a częścią i przestała działać; dodatna, wzniosła, idealna pozostawiła swoje błogie skutki *). Kobieta wzniosła się wyżej, a odrzuciwszy fałszywą emancypacyą surduta, cygara, konia i t. p. szaleństw, chwyta się zbawiennej jej strony, emancypacyi ducha z objęć materyi. Na tem familia i społeczność tylko zyskać może; na tem zyska ona sama przedewszystkiem, czując swoją niezależność i wolność duchową, której granice rozszerzają się w miarę, jak rośnie jej godność moralna i intelektualna przewaga.

U nas w Polsce emancypacya była przemijającą gorączką. Jeżeli w XVIII wieku mieliśmy wiele z objawów wskazanych przez nas we Francyi, to te objawy sto pniały prędko pod wpływem innych, bolesnych; ale podnoszących stosunków. Kołowacizna sandyzmu i emancypacyi tem mniej u nas miała sensu, że dzięki tradycyi przodków, niezapoznawaliśmy nigdy godności kobiecej, owszem do końca średniowieczną zatrzymaliśmy kawalerskość. Kołowacizna ta redukuje się do prostego cudzoziemczyzny naśladownictwa. Kobieta nasza rozwija się na posadzie myśli narodowej, ta myśl ją trzyma wysoko, wyżej niż wszystkie zwroty socyalne, francuską potrafią podnieść kobietę.

—2.—

Życie kąpielne.

Szkic obyczajowy.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Hrabia Adam Rożnowski, jak się to udało wyśledzić pani Trymdyszewskiej, był bogatym jedynakiem, posiadającym dwa ogromne klucze na Podolu. Wiadomość ta, rozprzestrzeniona pędem błyskawicy po kąpielach, sprawiła wiele i bardzo ciekawych objawów.

Obie panie postanowiły uwięzić hrabiego Adama, czyli jak to mówią zagięły parol na niego.

Panny obu obozów z większą niż kiedykolwiek poglądały na siebie nienawiścią.

Panny tegoż obozu patrzały na siebie ze spotęgowanem współzawodnictwem.

Wszystkie nieprzyjazne siły zwróciły się ze zgodną nienawiścią ku państwu kapitanowstwu i ich córce, którą najpierwsze spojrzenie Adama spotkało. Pani Trzyprztycka tłómaczyła, że kapitan był gracyalistą popularnego Adama, a pani Trymdyszewska złośliwszą jeszcze ukleciła bajkę.

Złość ta wzrosła jeszcze bardziej, gdy hrabia Adam stanowczo i wyłącznie Helenie asystować począł.

„Biedny chłopiec, zadurzył się i zrobi mezalians“ — wzdychały pobożnie obie panie.

*) Niech nas atoli Bóg broni zalecać romanse pani Sand tym, którzy mieli szczęście ich nie czytać.

My, piszący powieść, możemy antycypować wiadomości o panu Adamie. Otóż Adam był rzeczywiście bogatym jedynakiem, wychowanym przez wykształconą i poczciwą matkę. Od młodości otaczały go same piękne przykłady i doborowe towarzystwo. Brakowało mu jednej rzeczy: ręki męskiej w wykształceniu moralnem i naukowem. Adam był pieszczochem matki. Po jej śmierci nie sprawdziły się na nim owe straszne groźby nad jedynakami wyrzekane: nie rozpuścił się i nie tracił majątku, nie wpadł w cynizm i materyalizm; ale pozostał słabą, grymaśną chociaż szlachetną istotą. Adam był męczennikiem piękności, dobrego gustu, estetyki w każdym kroku swego życia. Nie doszedłszy do żadnych poważnych zasad, nie zgruntowawszy żadnej nauki, nie szukał niczego i nie gonił za niczem, co dobre, jeno za tem co piękne. Estetyka stała się u niego rodzajem moralnego kodeksu. Poetyczny z natury, zapalał się do szlachetnych czynów i przedsięwzięć, rozmiłowywał się w ludziach, miejscach, towarzystwach, które mu się zdawały nosić na sobie urok piękności, ale również prędko ostygał, dez-iluzyonował się i nudził. Uprzedzał się do wszystkiego, we wszystko kładł swoje urojenie, a skoro urojenie znikło a naga prawda się odsłoniła, uciekał. Wyjeździwszy się po zagranicy, zwiedziwszy piramidy egipskie i szczyt Montblanc, wrócił do kraju z najlepszemi chęciami czerpanemi z książek i poezyj, chwycił się obywatelskich prac i przedsięwzięć ale wnet ogorzały mu skrzydła i zaczął przebąkiwać, że nie wie, jak w domu wysiedzi. Dodajmy do tego, że p. Adam był ładny chłopiec i miał najlepsze serce.

Towarzysz jego pan Napoleon Twardziel był wyraźnym jego antypodą. Walcząc z losem przyszedł on do jakiej takiej pozycyi na świecie i obecnie na małej wiosce sąsiadował z Adamem. I on miał w duszy zapał, poezyę i dobrą wolę, ale przytem konsekwentny rozsądek, głębokie zasady i żelazną wytrwałość. Po wierzchu był zwykle ironicznym i lodowatym, co nieraz Adama oburzało. Z tym ostatnim nie łączyła go przyjaźń, bo Napoleon zdawał się nie znać co to uczucie, ale utylitarność, której był wyznawcą. Adam bez Napoleona byłby człowiekiem bez głowy, martwym i nieużytecznym człowiekiem towarzystwa. Napoleon podsycał każdej chwili dobre chęci, odkrywał mu nowe poetyczności w projektach najmaterialniejszych a zapalając go, czynił go użytecznym. I w obecnej podróży miał konsekwentny Napoleon swój cel osobny, dla którego Adamowi towarzyszył.

— Najprzód mój kochany Adamie, powinniśmy tam być, mówił na wyjezdnem, bo tam będzie dużo młodzieży z różnych stron kraju. Może ta młodzież ma już kogo takiego, co ją połączy, wyrozumie, rozrusza, rozbudzi; natenczas przyłączymy się do niego, jeżli nie, będziemy pierwsi. Po drugie, jest tam panna Helena z którą się gwałtem chcesz żenić, zobaczymy w niej 150 *poetyczności*.

— Otóż znowu kpiny.

— Nie kpiny, ale prawda. Trzeba, abyś nierozważnie tego nie uczynił, ale twoję poetyczność puścił na próbę. Będzie tam kupa innych poetycznych panien, które będą mieć o tyle więcej poezyi, o ile ty masz nie mało majątku.

— To też to właśnie! Jedna Helena w swej prostocie wyższa nad wszystkie!

— Poczekaj bratku! Zobaczymy.

— Zobaczymy!

VII.

Pan Napoleon Twardziel wiernie wypełniał pierwszą część swego programu. Sokolem okiem spojrzał on się

po młodzieży, jak jenerał po wyciągniętej linii wojska, posortował ją na gatunki, porobił postrzeżenia psychiczne i etnograficzne i nieznacznie przystąpił do dzieła, aby zyskać sobie i Adamowi popularność.

Napoleon spostrzegł że młodzież nasza, która była dostatecznie reprezentowaną w kąpielach, dzieli się najprzód na dwa wielkie działy, młodzieży spiącej i nie spiącej, które działy mają znów nieskończone swoje odcienia.

Młodzież spiąca wcale nie wygląda na spiącą. Są to chłopaki czerwone, czerstwe, z wykręconemi wąsami i wyfixowanemi bródkami, zaderewiści, czupurni, jak to mówią, nie przystępuj bez kija. Lubią się ubierać oryginalnie, w rajtroki i strzeleckie surduciki, lubią nasadzać na ucho dżokejskie czapki lub zielone kapelusze. Kawalerowie ci polują, grają w karty, piją, hulają, słowem bawią się w junkrów prowincyonalnych. Nie lubią trzech rzeczy: rozumowania, książki i myślenia.

Osobnym odcieniem między nimi są kawalerowie bledzi i wymokli jak śledzie, z cynicznym śmiechem na ustach. Ci rzemiosło próżniactwa i hulatyki przyprowadzili do fizycznych i moralnych jego konsekwencyj. Goniąc ostatkami zdrowia i pieniędzy lubią szczególniej zielony stolik.

Młodzież niespiąca dzieli się podług stopnia mniejszego lub większego swego rozbudzenia. Twardziel dostrzegł między nimi pewną ilość rozsądnych ludzi, którzy czas swój rozdzielili między wygodne obywatelskie posługi i zabawę, z niezwykłym zapałem mówią o bieżących kwestyach i z tego zapału robią sobie jeden wdzięk więcej, który ma przynęcać wykształcone i myślące panny. Wschodzą więc wszędzie, gdzie ich nieposiano; garną się między starszych i afektują umiarkowanie, rozwagę nad swój wiek młodzieńczy. Dobrych chęci u nich tak wiele, że mimowoli życzyć należy gruntowniejszych zasług. Ale oni lubią wygodne i nieforsowne zasługi. Przytem chorują na półpankowstwo. Obok tych było wiele z poczciwem sercem i poczciwym zapałem. Na wierzchu unosiła się w kilku exemplarzach *kremaary* stokratyczna, wyłączająca się Bóg wie dla czego i przebierająca w dłoniach do uścińienia, aby rękawiczek *glacé* niepowalać. Nieodznaczała się ona od reszty młodzieży ani wyższością nauki, ani wyższością dobrej chęci, odznaczała się tylko ironią ze wszystkiego, co po za nią istniało.

Obok różnic obyczajowych dostrzegł Twardziel różnice prowincyonalne. I tak, młodzież królestwa zdradzała grubo brak wszelkiego głębszego wykształcenia. Kobiety królestwa wstydziły swoich młodych sąsiadów. Młodzież Galicyi miała podcięte skrzydła zapału, animusz osłabiony, zachwianą wiarę w to, co jedynie siłę i potęgę dać może. Co w młodzieży zawiślańskiej niszczyła hulatyka i życie na żart, to w galicyjskiej trawiąca ironia z siebie i świata. Przy tych brakach, jeden exemplarz z Poznańskiego przybyły, odznaczał się zaszczytnie głębszem wykształceniem i dobremi a czynnemi chęciami.

Twardziel wiedział, że najgorsze przyjęcie, jakie sobie reformator zjednać może, zjednywa sobie morałami i kazaniami. Zarzucając więc drogę blagiera, dał nurka między różnorodne warstwy młodzieży, poprzyjaźnił się z ślepymi i kulawymi, uczynił się na moment podobnym do wszystkich i nieznacznie pozbliżał jednych do drugich. Puściwszy kilka pomysłów szczęśliwych, rozbudził życie zabaw a powoli i życie myśli. Kółko jego rosło jak lawina, tym szybcej, że naczelnictwo podzielił z gładkim i miłym, rodem i majątkiem znakomitym Adamem. W ten sposób mógł się Twardziel cieszyć w cichości, że z przypadkowego zjazdu kąpielnego nie jeden zdrowszą i energiczniejszą duszę wywiezie.

VIII.

Druga część programu Twardziela rozwinęła się częścią sama z siebie, częścią za staraniem połączonem hrabiny i pani Trymdyszewskiej.

Adam, asystując cały tydzień statecznie Helenie, wrócił pewnego wieczora mocno zalterowany do pomieszkania.

— A co tobie? zapytał Twardziel podnosząc swoje herkulesowskie brodate oblicze z nad książki, w której był zatopiony.

— Nic — nic — zupełnie nic, odrzekł Adam rzucając się na sofę.

— Nic? Mój kochany Adasiu, znam jegomości zanadto dobrze. Jesteś znowu *nieszczęśliwy*.

— Ach! ty zawsze tylko żarty stroisz, dla tego odtąd myślę zamknąć się w sobie...

— Pieszczochu! pieszczochu! rzekł Twardziel w pół z ironią a w pół z współczuciem, albo byś ty wytrzymał zamknięty w sobie?

— Piękna nagroda za dotychczasową otwartość.

— No! no! nie gniewaj się. Wiem przyczynę twojej zgryzoty. Posprzeczałeś się z Helenką, posprzeczałeś jak sawsze niesłusznie, o jakieś niesłychane wymagania, których ona wypełnić nie zdołała.

— Ach! tą razą nie było nic niesłychanego! Co to za kościana, zimna, z rybią krwią panna! Żadnego podlotu, żadnego uniesienia, żadnego zapału!

— Aha! Tuś mi ptaszku! Zaczynasz się nudzić i zniechęcać. A Bóg świadkiem! że jeżeli Heleny nie umiesz cenić, toś nie wart torby sieczki bratku. To święta, prosta, anielska dusza, dusza bez skazy, jak ją Bóg dał dawnym Polkom naszym..

— Dziękuję za to anielstwo, mówił roskapryszony i rozgorączkowany Adam. Co za proza! co za proza! — Żeby ona mnie choć trochę rozumiała! Ale najczulsze sentymenta to groch na ścianę. Sama rzeczywistość, sama rzeczywistość!!! Przytem co za drewniane foremki decencyi i przyzwoitości! Co za zimno syberyjskie! Co za mierzytelność uczuć w miarę zbliżania się ślubu?

— Ona ciebie nie zrozumiała! Gdy cię rzeczywiste nieszczęście trafiło, ona umiała współczuć z tobą? Gdyś był chory lub zmartwiony prawdziwie, ona nie pokazywała serca dla ciebie? Gdy jej wielką myślą przed oczy zaświecisz, ona nie umie zapłonąć świętym ogniem? A że się twemi poetycznemi fatałaszkami nie zatrudnia, nie gada z tobą jak nowa Heloiza do Saint-Preuxa, to jej wina, czy zasługa?! Ona jest zdrowa duszą i ciałem a ty mazgaj fizyczny i moralny...

— Mój Napoleonie! odburknął Adam. Wiem co mówię. Wiem, że jest stworzoną na bardzo wzorową żonę, matkę licznych dzieci, gospodynię etc. etc. ale wiem także, że nie potrafi mi dać moralnego uzupełnienia.

— Jestem przekonany, że ty jej go dać nie potrafisz! Wiesz co Adamie, że mnie przyprowadzacie do zapalczywości wy półpoeci przebrzydli! Czego wy chcecie? Pokrzywiliście piękny świat boży w jakieś monstrualne dekoracye o piekielnem oświeceniu, spaczyliście każde uczucie i każde uniesienie. Chcecie jakiegoś zrozumienia! czego? u milion paręset beczek furgonów? tego, że nie patrzycie na to co jest, tylko w jakieś światy idealne, że się pozujecie na wielkich ludzi z małemi słabostkami, że wymagacie systematycznego naprężenia tonów całego świata na jakiś ton fałszywy, który pięknym nazywacie...

— Nieporozumiemy się dzisiaj.

— To idź spać Adamie! — A jutro idź i przeproś Helenę.

— Być może, że to zrobię. Prawda, ona nic nie winna. Jam tylko nieszczęśliwy...

— Znowu nieszczęśliwy! Że wy też koniecznie musicie być nieszczęśliwemi, jeżeli tylko dwa kroki nad tłum zwykłych ludzi się wyniesiecie...

Rozmowa się urwała. Obaj przyjaciele spać poszli.— Twardziel wnet chrapał w najlepsze—Adam po długich szamotaniach usnął na pokrzywionej poduszce.

(C. d. n.)

Z Hejnego romans.

CZĘŚĆ I.

Kwitła lipa, słowik czule śpiewał,
Słonko z nieba rozkosznie się śmiało;
Jam w całusie twoim się rozpływał,
Twoje oko — niebem mi się zdało.

CZĘŚĆ II.

Liść opada, i kruk dziko kracze,
Słonko zda się, że nad nami płacze,
My — ozięble żegnamy się wzajem,
A ty dygasz — dziewczęcym zwyczajem.

Koniec.

J. K. Turski.

POLSKA w PIEŚNI

z księgi pierwszej **Wojna Olbrzymów**. Wyszymir. Dwónastu Wojewodów przez **Deotymę**.

(Warszawa u Kowalewskiego 1860 r.)

(Dalszy ciąg.)

Młodzieniec, prosty rybak zakochał się w bogini rzek, Wisławie. Miłość podniosła jego ducha, uszlachetniła go, ubóstwiła niemal. To myśl piękna, wielka nawet. Możemy tu rzec nawiasem, iż myśli pięknych napotykamy dość w tym utworze.

Kochając więc szalenie swoje bóstwo przekonywa się o jej wzajemności: dostaje od niej żagiel *cudowny*. Bez tego *żagla* nie wolno się nigdy młodzieńcowi puszczać na wodę:

Tak ty bez żagla, jak żagiel bez ciebie,
Tracicie siłę opiekuńczą w niebie.

Szkoda że nie wiemy czy Słowianie wraz z Grekami nie okrywali nieba z wnętrza miedzią.

Wreszcie żegnają się kochankowie, ale w pożegnaniu tem bardzo mało widzimy *uczucia:*

Potem *spojrzenie* — potem uścisk dłoni,
I znów *spojrzenie*... i łza pożegnania,
I znów *spojrzenie*!... uczuła dziewica,
Że on się nigdy pierwszy nie oddali,
Więc dłonią oczy spłakane przysłania,
I znikła siejąc srebrny krąg na fali...

Po tem rozstaniu się, które już prawie końca mieć nie miało, zaczyna się pieśń druga o owym *cudownym żaglu*, podarunku sławiańskiej Andromachy, zrobionym sielankowemu Hektorowi. W pieśni tej młodzieniec różnych dokazuje cudów — zapewne w nurtach wód słowiańskich znalezionym bursztynem zdumiewa kupców z Carogrodu, od którego za jeden drogocenny kawałek nabywa tylko *miecze*, choć mu kupcy chcą oddać wszystkie towary. *Miecz* ów wybrany przez młodzieńca ma zapewne oznaczać, że Słowianie od roku 690 poprawili się w charakterze, i już nie *o gęśli tylko marzą*, jak to o nich owi trzej gęślarze pierwszego oddziału mówili; ale chcą miecza .... drgają zapałem wojennym. Ten rys charakteru prawdziwym jest niezawodnie.

Następnie ukazuje się młodzieniec o cudownym żaglu jako zwiastun najścia nieprzyjaciół, mianowicie napadu Sywarda króla duńskiego na Pomorze. Ukazuje się jako wybawca w niebezpieczeństwie żeglugi morskiej. Tak zręcznie i cudownie żaglem swoim przywodził wojakom słowiańskim, że aż *Krakus* zdjął przed nim czapeczkę czerwoną i proponuje narodowi, aby go obrał za sterownika kraju. Naród cały zgadza się, bo utrzymuje że: *„Kto burzom włada niech steruje w kraju.“* Idą tedy do *Bugaju* na elekcyą króla.

O Bugaju nasiępują opisy poetyczne zaczynające się tak:

Dziś jeszcze w wielu polskich wsiach i grodach
Napotkasz ustroń *Bugajem* nazwaną;
Ileż pamiątek zawiera to miano!

Ileż poezyi ten opis zawiera! (str. 109) Bugaj znaczy gaj bogom poświęcony, w którym nasi praojcowie składali ofiary. I w takim bugaju przemawia młodzieniec, w którym sam ocenia swoję zasługę: bo oprócz *miru* to jest spokoju, zgody na ziemi, sprowadził na kraj jeszcze wyższy mir, bo mir na ziemi i na wodzie. Wyższy — mir — Wyszymir! zawołali tłumnie, i odtąd młodzieniec Wyszymirem się zowie. I pod jego przewodem bohaterowie oręża stają się także bohaterami wiosła. Płyną, śpiewają, i płyną do boju z Duńczykami. Nareszcie zbliża się chwila bitwy. Syward król duński szamocze się z rozpaczy: syn jego Jarmeryk ginie mu nagle. Aż nareszcie dowiaduje się, że syn jego najpierwszy umknął.

Ta wieść w Sywardzie maszt hartu druzgoce. Walka się nasroża. Wyszymir cudów dokazuje na wodzie. Uosobienia różnych przymiotów duszy odznaczają się; i tak Wieńczysław (duch nadziei), Scibor (duch pieśni), Miłosław (duch miłości), popłynęli na łódce młodości. Grzmisław (duch siły), Sobiesław (duch pracy), Lassota (duch mądrości), wstąpili do *łódki żywota* — i pognali w bój. Lecz z początku zaraz usiłowanie ich pokazało się daremnem, co widząc *Wyszymir*, gniewa się, *bijąc stopą w łódź* i boleśnie woła: Nie tak! nie tak! Nieszczęsna godzina! W końcu zapomina o wszystkiem, (t. j. o warunku swojej potęgi na wodzie)— zesuwa złoty płaszcz z ramion i *w trzecie czólno* się rzuca. Wtedy ukazuje się mu widziadło Wisławy, pod bursztynową bramą w postaci motyla trzepocącego się na szpilce — przypomina sobie *żagiel;* lecz po niego wrócić, już zapóźno. Właśnie uderza na niego Syward i łamie mu cięciem żelaza naramiennik.

I *płynny skarłat* zbroję zarumienia...

Następuje walka okropna. Z Sywardem siedmiu Wityngów staje — z Wyszymirem siedmiu bohaterów. Lecz wszystko napróżno! *Bałtyk (nie wierny!)* nie sprzyja!

Odkąd z pod żagla, *tkanego na cudzie,*
Smiałeś wyjść, wodzu! odtąd świat ci wrogi,
Rycerze twoi dotąd jak półbogi,
Teraz już walczą tylko jako ludzie.

Więc trwoga wielka i popłoch między Lachami. Syward się cieszy, wszystko mu sprzyja nawet *Jarmeryk* z zatoki się wymyka, do której się był z tchórzostwa schował.

Ostatnie jednak wysilenie rozpaczy Wyszymira przeważyło szalę zwycięstwa na jego stronę. Do zupełnego zwycięstwa księcia dopomogło także widzenie Sywarda, w którem się *Hela* (bogini śmierci) ukazała, wyrzucając mu napad na kraj lacki, i zwiastując śmierć w najpierwszej bitwie, gdyby się ją staczać odważył.

Wreszcie okrzyknięto zwycięstwo Lachom, a król Syward pragnąc wejść w układy z Wyszymirem płynie sam do niego. Książę przyjmuje go uprzejmie, czemu się Duńczyk wydziwić nie może. Chodzi tylko o koszta wojenne a mianowicie o *daninę*. Złagodzono nareszcie *daninę na zamianę zakładników: Syward* daje *Jarmeryka* a *Wyszymir Krakusa*. Kończy się nareszcie pieśń druga założeniem Gdańska:

Na uświęcenie wygranej tu bitwy.

Pieśń trzecia *„Książę morza“* zaczyna się zdradą Jarmeryka. Po dwóch latach opłacania daniny, Duńczycy nie chcą już trzeciego roku jej płacić. Jarmeryk znika. Strach u Lachów, bo jakżeż odbiorą Krakusa. Tymczasem przejmują list Jarmeryka *runami* pisany. Tylko *Lassota* jeden, który się przypadkiem nauczył od Duńczyków tej sztuki, odczytał je, z czego się pokazało, że Jarmeryk pisze do swego przyszłego szwagra, namawiając go do napadu na Polskę. Idą więc do Danii odbić Krakusa. Męstwo towarzyszy im wielkie. Wyszymir, książę morza, wszędzie ma szczęście. Próżne usiłowania Duńczyków: Wyszymir wszystko zwycięża. Jarmerykowi rękę strzałą przeszywa, cudów dokazuje swem męstwem.

Nie możemy tu pominąć w tej pieśni stronnicy 211, w której igraszka rymów, często w mniejszej dozie w tej książce rozsiana, przechodzi granicę wszelkiej harmonii wiersza.

Wtedy Wyszymir krzyknął: „Teraz chwila!“
Huf odwodowy za sobą porywa,
Jak błyskawica zlatuje ze *wzgórza,*
Jak piorun z hukiem w bitwie się *zanurza,*
I po dolinie szerzy się jak *burza!*
Wnet nad Sywardem niebo się *zachmurza...*
Wykrzyk wróżbitów jakiś cios *wywróża...*
I nawet strumień ze strachu się *wzburza...*

Toż samo powtarza się z rymami: *rozmiata, oplata, przygniata, świata, skrzydlata, ulata.* Jakkolwiek bowiem trudno się dopatrzyć w całej tej pieśni chwili prawdziwego natchnienia, gorszy nas bardzo to miejsce dziecinnej szermierki rymami, śród poważnego nastroju całości.

Gunnab, waleczny przywódzca duński, ginie — a nareszcie po krwawej walce i Syward umiera, a umierając woła: O Helo! Przypomniał sobie, lecz zapóźno, jej wyrocznią, iż w najpierwszej bitwie polegnie. Odtąd bitwa zmienia się w pogrom. Wieńczysław ujarzmiciel koni, popędził za umykającym Jarmerykiem, a do Wyszymira, który nad zwłokami swego przeciwnika ubolewał, przychodzą tłumy Duńczyków, uroczyście obracają doń mowę: Wielbią jego dzielność i męstwo i na pamiątkę zakładają miasto *Wizmar.*

Pogrzebłszy odważnych poległych, Sywarda i jego brata, wyprawia się Wyszymir do Danii po Krakusa. Tam musi długo walczyć z Butlą, który sobie w nieobytności Jarmeryka tron przywłaszczył; lecz nareszcie wszystko doprowadza do pożądanego celu. Wynajduje Krakusa, brata się z Duńczykami, umawia się z niemi o granicę i wysyła posłów po Jarmeryka, przyrzekając Duńczykom, osadzić go na tronie. *Hilda,* królewna, piękna jak bogini, chcąca się z początku tylko zemścić na Wyszymirze, czaruje go miłością. Wyszymir oczarowany kocha jej wdzięki. W tem miejscu spotykamy pełno mytów skandynawskich, wielką erudycyą zdradzających. Kiedy jednak Wyszymir domyślił się zdrady Hildy — klęka przed nią, zaklinając ją, aby go odczarowała. Tej scenie przypatruje się Bałtyk niepostrzeżony od nikogo. Obrażona miłość królewny, sroży się — ona mu jednak przyrzeka odczarowanie, tajnemi jakiemiś zamiary kojąc swój wewnętrzny żal. O tej czułej scenie kochanków donosi Bałtyk Wisławie — Wisława, jak furya piekielna zagniewana na Wyszymira, poprzysięga zemstę.

Następuje pieśń *czwarta:* „Świat podwodny.“ W tym rozdziale ma Hilda dokonać swej zemsty, to jest otruć Wyszymira; lecz w chwili tej właśnie, w której tego zdrobniczego zamiaru miała dokonać, przekonywa się, że Wyszymir jest szlachetnym, że Jarmeryka pragnie osadzić na tronie Danii — że ona go więc kochać może. Ciska więc puchar napełniony trucizną w morze, i przyznaje się do swego zamiaru. Wyszymir jednakże w tej samej chwili inną staczał walkę w duszy. Jemu się ukazała Wisława, groźna, okropna, jak wyrzut sumienia, w sercu odezwał się głos dawnej miłości — rozpacz nie miała granic, bohater rzuca się w głębinę morza. Hilda rozpacza i na wieki rozpacza, Wyszymir tonie a duch jego w podwodnem państwie zostaje przeobrażonym. Dziwnie fantastycznego pomysłu ucztą — na którą wszystkie rzeki, rzeczki, strumyki, deszcz nawet i rosa, zgoła wszystko co tylko jest wodą, dostały zaproszenie — zakończa się poemat o Wyszymirze.

(Dokończenie nastąpi.)

Teatr w Krakowie.

Było na świecie ckliwie i parno — ludziom jakaś tęsknota padła na duszę. Świat cały był niby chory, jakoś się krzywił i nudził sobą, sam niewiedział, czego mu brak, i dla czego mu tak żałośno: ot było mu tak, jak to bywa przed ciężką chorobą, lub burzą, lub wojną. Już na zachodzie piętrzyły się czarne kipiące chmury, i nad starą Francyą, jakby nad pałacem Baltazara, ręka opatrzna i nieubłagana historyi wypisała już zbliżający się rok 1789. A zrozumiał tę tęsknoty świata, te jego boleści poeta, i dla tego mu w sercu coś bolało i płakało rzewnie. A poeta, o którym mowa ustrojony w mundur księstwa wirtemberskiego, ścięty krojem pruskim Fryderyka Wgo, z ogromnemi guzami; kamizela szerokiemi połciami wywieszona z pod munduru, długie nogi od uda do kolan cieńkie, ściśnięte, ale za to od kolan do pięty potwornej grubości wzdymają się w konwie, bo obłożone wypchanym białym kamaszem; szyja długa więzła w obróżę (?) wązkim włósianym halsztukiem; po obu stronach głowy, trzy trąbki włosów zwite na wałkach gipsowych, z tyłu dęba staje gruby sążnisty harcap, a na samym szczycie głowy siedzi, niby ogromna ćma, maluchny trójgraniasty kapelusik. Nos jastrzębi zakrzywiony pod wydatnym kątem, brwi rude ku oczom skierowane, nadawały twarzy formę ptasią. Cała figura sztywna, nieruchawa, posuwała się po ziemi bocianim chodem. Był to pan lekarz pułkowy *Szyller.* Lecz gdy ten lekarz pułkowy tak niezgrabny, tak sztywny, przemówił, oczy jego siwe, głębokie, zaświeciły gieniuszu płomieniem, brwi się ściągły silnie, usta się zwarły, a blade zapadłe lica zalała zorza wschodzącego ducha; wtedy wszyscy umilkli, korząc się pod czarów przewagą. Oddany w 14tym roku do szkoły synów wojskowych, uczył się naprzód teologii, potem medycyny, potem prawa, potem znów medycyny, i przy niej na jakiś czas pozostał. Ciałem zamknięty w klauzurze szkolnej, uczuciem owiał świat cały, i jakby po dziedzictwo swoje, sięgał duchem do gwiazd niebiańskich, i niby wedle upodobania swojego zdejmował te gwiazdy z wiekuistego sklepu, strojąc niemi postaci swych uczuć i myśli: a co wielkie w naturze, co zacne i święte w człowieczeństwa sprawie, to miotało niby burzą w duszy jego. Więc przebaczmy też młodzieńcowi temu zbyt rozkołysanych myśli; brak nie zupełnie jeszcze prawdziwego widoku na świat i treść jego. Nim trzęsły wichry i burze, a na dnie duszy paliło pragnienie, by wydał na jaw, co go tam w sercu bolało, by wystąpił czynem, a czynem u niego była pieśń, był dramat, zdawało się, iż wolą potężną wysadzi świat z piast swoich, że tchem rozwieje go w atomy, w powiewny pył.

Tak razu jednego, a miał wtedy lat 18, siedząc samotny w swej ciasnej izdebce, ujrzał oczyma swego ducha, postać ogromną; a rosła coraz wyżej a wyżej, aż dźwigła się olbrzymem. Tą postacią był własny duch wieszcza, on się

w niej przejrzał, zdobył ją sobie. Niepohamowana siła w nim parła, uchwycił pióro i wołając: „Napiszę ja książkę katowi na spalenie!" napisał Zbójców. W tych Zbójcach osadził ono widziadło swej duszy, onego olbrzyma *Karola Moor*, wykarmił go boleścią i rozpaczą swej duszy, uposażył całą nienawiścią, jaką pałał ku tej rzeczywistości skręconej, która go w około obległa, a Zbójcy wydrukowane za pożyczone pieniądze, na szarej grubej bibule, padły na świat niby grom klątwy!

Temi słowy, tym ślicznym obrazem maluje *Józef Kremer* autora Zbójców w pięknej i głęboko ujętej recenzyi swojej o Dziewicy orleańskiej, granej w Krakowie r. 1844. Tutaj też 1go grudnia b. r. odegrano Zbójców. Powróciwszy z ich przedstawienia, i zamierzając skreślić słów kilka o nich, wyjąłem te słowa *Kremera* z jego artykułu, i użyłem za wstęp do mojego. Nie mogłem mieć szczęśliwszej myśli: obraz Kremera jest tak dokładnym, tak trafnym, iż najlepiej określa to wszystko, co może i ja czuję w duszy o wielkim gieniuszu Szyllera — czegobym jednak nie zdołał tak dobrze wyrazić. Zaiste! Wulkaniczne uczucie musiało wzburzać młodzieńczą piersią wieszcza, kiedy w niej olbrzym pomysłu, w postaci Karola Moora, się zrodził. Karol Moor to niejeden człowiek — to siła ludzi tysiąca — to idea całego wieku, to społeczeństwo całe — to strona jedna tylko całego życia 18 wieku, to echo burzy rozlegającej się po całej Europie. Lecz idea każda, aby swej potęgi dowiodła, musi walczyć, musi mieć przeciwieństwo siebie. Równocześnie więc w chwili narodzenia się w duszy poety Karola, rodzi się ohyda człowieczeństwa, olbrzym nikczemności i hańby, piekło uczuć i woli.... rodzi się Franciszek.

Dwie te olbrzymie postacie, to dwie żywotne kończyny społeczeństwa; walka między niemi, konieczna, niezbędna, to walka szatanów z Bogiem. O ileż potrzeba siły, ileż natchnienia, aby ją określić — odmalować. *Szyller* miał siły do tego — stworzył Zbójców — stworzył w dramacie, bo wrząca energia tych dwóch postaci inaczej objawić się nie mogła — stworzył sztuką, bo on był prawdziwym jej mistrzem. Lecz mistrz ten miał wtedy lat 18! Nie dziwić się więc nam, że okiem młodzieńczego zapału widział tryumf tej walki w najwyższem poświęceniu, w zaparciu się własnej miłości — w ogóle w ideale uczucia i czynów, jakiego niestety mała tylko miniatura na świecie w życiu, śród ludzi, śród rzeczywistości się napotyka. Jego Karol postawiony do walki z miłością ojca, ziemi i dziewicy, z naturą, i wszystkiemi, a tak wszechmocnemi jej prawami — tryumfuje poświęceniem, tryumfuje szczytem życia, bo wiarą w Boga i jego sprawiedliwość. Ztąd też pochodzą owe dziwnie idealne sceny w tym ślicznym dramacie, które znającego rzeczywistość życia, i mającego tak zwane doświadczanie, zadziwiają. Scena, w której *Karol* wyrzuca *Amelii* jej tak dalece posuniętą miłość, że się aż w podobieństwie do swego kochanka zakochała, nie zdarza się w życiu. — Nie ma takiej maski, któraby największego nawet ducha zakryła, i od wyznania uchroniła w tej chwili, kiedy ten widzi obok siebie anioła dziewicę do szaleństwa jemu dochowującą miłość w swem sercu. Ideał poety mógł tylko podobną zwyciężyć walkę. W życiu ona zwycięża wszystkich. Zbójców odegrano w naszym teatrze 1go grudnia. Najważniejszą rolę odegrał p. Jan Królikowski. Słynny ten artysta grał Franciszka. Jak Szyllera trzeba było, aby takiego stworzyć olbrzyma jakim jest *Franciszek Moor*, tak trzeba takiego artysty jakim jest p. Jan Królikowski, aby go dobrze przedstawić. Na tem przedstawieniu widzieliśmy w całej ohydzie swej piekielnej namiętności, charakter zbrodniarza syna, brata i człowieka. Nie wątpię, iż niebyło nikogo między naszą publicznością, w którymby na ten widok nie zadrżało serce odrazą i wstrętem, do takiego potworu człowieczeństwa. — Lecz nie tylko wstręt jest skutkiem takiego obrazu mistrzostwa autora i artysty; moralny, najmoralniejszy skutek gry takiej, to rodzące się zarazem w każdego duszy uczucie dziękczynne do Boga, że go od takich zbrodni uchował. Gra pana Jana Królikowskiego stoi wyżej wszelkiej recenzenta krytyki — on dowiódł przedstawieniem Franciszka, do jakiego szczytu artysta dojść powinien; nie zadziwia on tylko, on wzrusza, porywa, buduje. Fizyognomii jego charakter jest nie do porównania. Jaka tam walka uczuć w duszy się odbywa, to samo pisze się wśród gry, na jego twarzy. I jakże tu kogo ma zadziwić, że inni obok niego artyści, choć nie bez talentu, choć z największą pilnością i usiłowaniem, wyglądają mdło i słabo. Panna Biedrońska rolę *Amelii* odegrawszy w wielu miejscach z prawdą i zapałem, nie mogła dotrzymać polotu wysokości talentu pana J. Królikowskiego. Dziwi nas nawet czemu ta utalentowana artystka taką niewłaściwą sobie miała rolę, chyba tylko dla tego, że w całem towarzystwie krakowskiem niktby inny lepiej od niej Amelii nie odegrał? Pan Janowski, usiłowanie widoczne uwieńczył kilka razy szczęśliwem uniesieniem; nie można powiedzieć, iżby odegrał doskonale Karola, grał go jednakże tak iż w kilku miejscach na słuszny poklask zasłużył.

Inni artyści robili co mogli — robili nawet wiele. Sztuka cała szła dosyć gładko. P. *Dębicki np.* z trudnej roli Daniela wywiązał się dobrze, p. *Delchau* Spigelberga odegrał z prawdą, p. *Zamojski* Szwajcara, *Krajewski Rollera* oddali nie bez talentu.

Pan *Karsznicki* tylko starego Moora nie oddał jak się należy, nie było w grze jego tego pięknego charakteru, jaki autor stworzył w znękanym starym Ojcu.

Kosińskiego grał po raz pierwszy występujący, młody uczeń szkoły dramatycznej Warszawskiej p. Tatarkiewicz. Pierwszym swoim występem dał on się poznać z dobrych bardzo i potrzebnych aktorowi przymiotów. Ma wymowę płynną, głos czysty i przyjemny; z roli tej jednakże, będącej opowiadaniem a nie dramatyczną akcyą, o jego talencie wnioskować nie możemy.

W końcu zauważyć musimy i to, że „Zbójcy" odegrane w naszym teatrze wiele bardzo różnią się od oryginału. Przerobienie ich na scenę, jest wprawdzie koniecznem, żeby jednak to, które widzieliśmy teraz, było doskonałem, nie powiemy.

W niedzielę 2go grudnia przedstawiono konkursową komedyę J. Korzeniowskiego p. t. „Majątek albo imię." Sztuka to nie bez zalet. Wyśmiewa ona niknącą już dziś po części wadę Polaków, wadę ich ojcom i dziadom nie znaną zupełnie: wstręt do ojczystych rzeczy i zamiłowanie obczyzny. Podobnego tematu już i Korzeniowski i inni autorowie wiele sztuk napisali. W tej komedyi jednakże pięknym wierszem napisanej, wiele myśli i uczucia zawierającym w sobie, za zbyt długiemi morałami, jak na komedyą, autor do celu dochodzi. Jestto właściwość znakomitego autora „Żydów," że w komedyach, mianowicie też później napisanych, przesadza morałami.

Młody poczciwy urzędnik Licki z Warszawy, pobierający 6000 pensyi rocznie kocha się w Pannie pięknej, dość majętnej, urodzonej z ojca szlachcica a matki hrabianki. Rozumie się że z tego powodu miłość biednego gryzipiórka jest niewzajemną. Panna Aniela, pamięta dobrze słowa ś. p. matki mówione do niej przysłowiem „Majątek albo imię." Między temi dwiema rzeczami wybierając, woli majątek. Lickiego zaś nie kocha zupełnie; nim zajęła się jej kuzynka: dziewczątko serdeczne, poczciwe. Pan Licki ma przyjaciela malarza Żytowskiego, ten poznawszy Anielę pochwala jego gust i sam nawet zapala się jej widokiem; robi jej portret i bałamuci się coraz bardziej, widzi jednakże iż przyjaciela jego daremnemi są wszystkie zabiegi. Licki jest tylko szlachcicem, malarz nawet nie jest urodzonym. Hra-

bia Janusz, komiczna postać tej katastrofy, ma imie — nie cierpi ojczystej ziemi, ani jej języka, ani jej obyczajów. W ubogiej, według niego, Polsce nic znakomitego urodzić się nie może. Spodziewa się on majątku po wujence, ale ta na złość żyje jakoś długo. Ciocia Anieli jest to znowu żeńska postać tej samej idei, jaką autor w hrabiu przedstawił. Ona radzi swej siostrzenicy przyjąć rękę hrabiego, bo to człowiek z głową, a nadewszystko z imieniem. W akcie IV następują stanowcze kroki. Urzędnik oświadcza się, a panna Aniela go nie przyjmuje, dowiaduje się zarazem od jej przyjaciołki Basi, że nie jest wcale kochanym. Hrabiemu stryjenka umiera, a Lickiego wujaszek zjawia się z milionem dla swego siostrzana przeznaczonym. Stan rzeczy się zmienia. Panna Aniela dowiedziawszy się o milionie urzędnika, chce mu oddać rękę, lecz ten jej nie przyjmuje, prosząc o rękę Basi. Hrabia także nie widzi szczęścia w małżeństwie z panną Anielą mając sam majątek. Tak więc Aniela zostaje na koszu. Babunia tłómaczy jéj moralnie przyczynę takiego wstydu, w skutek czego padająca u nóg jej Aniela, poprawia się, i serdecznie żałuje za swe grzechy, winę swą złemu wychowaniu przypisując... Malarz staje się nagrodą jej skruchy — on rozwiązuje rzecz całą i żeni się z Anielą. Tak więc dobrze się wszystko skończyło: hrabia dostał majątek, urzędnik żonę, a jego kochanka dostała nauczkę i męża artystę. Oto treść komedyi. Pełno w niej zwrotów a obok nich czasem i nienaturalnych kolizyj. Jestto obrazek żywcem wzięty z natury — są to nie typy ogólne, lecz portrety najrzeczywiststze, nie artystyczne. Lepiej by wyglądało, gdyby je autor uwolnił od przypadkowych właściwości indywiduów, a podniósł do typów. Ale tak to zwykle bywa, jeżeli się wprost kopiuje z żyjących. Człowiek boi się uronić specialności, które mu się wydają konieczne, a które są niezrozumiałe dla świata. Komedyę tę odegrano bardzo dobrze. Już to przyznać należy, iż lekkie salonowe komedyjki grają tu u nas z precyzyą i wdziękiem. P. Karol Królikowski, Panna Biedrońska, Panna Safir, Pani Monikowska, to są artyści i artystki z wielkiemi do komedyi talentami. Gra ich w komedyach Korzeniowskiego jest prawdziwie artystyczną. Pan Karsznicki odegrał też swą rolę z wielką prawdą i zapałem. — P. Benda piękną rólkę malarza, oddał bardzo zręcznie.

WYPRAWA DO MOGIŁY.

(Najprawdziwsze zdarzenie.)

Ciąg dalszy.

Wprawdzie pałuba nic się nie odzywała, ale dowcipny chłopczyk wiedział jak sobie poradzić. Wziął dwa kawałeczki papieru jednakiej wielkości, na jednym napisał tak, na drugim nie; zwinął na kształt karteczek loteryjnych, i rzucił silnie o głowę drewnianego kasyera, i tę rozwijał, która z odbitych bliżej jego nóg upadła. Jeżeli wypadło nie, natenczas odchodził ze spuszczoną głową, i nie powtarzał tej manipulacyi aż na drugi dzień, a zdarzało się często że dopiero po kilku tygodniach upragniona odpowiedź przychodziła. W takim razie wyjmował pewną sumkę a natomiast kładł najformalniejszy weksel, z najdokładniejszem oznaczeniem terminu, w którym ma ją oddać. Natenczas jadł mniej i gorzej, aby tylko uiścić się z długu, aby tylko z wyznaczonych sobie przez siebie samego na dzienne potrzeby pieniędzy cokolwiek oszczędzić, a gdy i takim sposobem nie mógł w dniu wyznaczonym wekslu wykupić, zamykał się w domu, kroku nie wychodził na ulicę, jadł suchy chleb i popijał wodą, słowem odsiadywał dobrowolnie areszt za długi, a to dopóty, dopóki do grosika nie wypłacił się drewnianemu kasyerowi.

Przed dwoma tygodniami uwolnił się z takiego długu, a tu znowu nieszczęsny koncept Naczelnikowej: jazda do Mogiły!—

Więc zrachował mniej więcej co to wyniesie taka przejażdżka, i z okropną boleścią przekonał się, że trzeba będzie dobyć najmniej ośmdziesiąt złotych. A któż mu mógł zaręczyć, że ta suma wystarczy. Ha, trzeba radzić. Po długiem wahaniu, odważył się nareszcie pan Jeremiasz prosić kasyera o sto pięćdziesiąt złotych.

Naturalnie że wymawiając zwyczajną formułkę: Jejmość dobrodziejko, pożycz sto pięćdziesiąt złotych, a klnę się na zbawienie duszy że oddam, trząsł się cały ze strachu, co ztąd pochodziło, że jeszcze nigdy nie odważył się żądać tak znacznej summy. Zwinąwszy dwie karteczki, rzucił o głowę cielca i-o dziwy! pozwolenie odebrał. Wyjął dwadzieścia pięć rubelków, napisał weksel na cztery tygodnie. Ale widać że widok sreberka, które tak marnie rozejść się miało, wzburzył krew w całym organizmie małego człowieczka!

— To zbrodnia o pomstę do nieba wołająca — krzyczał i skakał po pokoju — gruba, leniwa Naczelnikowa, nie umie dużo chodzić. Widocznie uwzięła się na to, abym ja sam cały powóz najął, i jeszcze w dodatku wiktuałami go wypakował. Lecz trzeba myśleć; może znajdzie się jaki sposób, że ja tylko czwartą część kosztów jazdy poniosę — tak chce sprawiedliwość, tego wymaga porządek chrześciański.

Pan Jeremiasz miał synowca, który skończywszy niedawno medycynę, zaczął dość szczęśliwie praktykować.

Kazał go do siebie zawołać, a wyburczawszy go łagodnie, że ciągłe tylko nad książkami ślęczy, co może zdrowiu zaszkodzić, zaproponował mu? przejażdżkę do Mogiły.

— O, z największą chęcią, kochany stryjaszku — rzecze uradowany Henryk — myśląc, że przejażdzka i jakoweś pożywienie na miejscu, opędzi się kosztem stryjaszka.

Lecz zaraz się prawdy dowiedział.

— Jadę z dwiema damami — mówił Jeremiasz — ale powóz jest wielki i może wygodnie sześć osób pomieścić. Więc zapros jeszcze z dwóch z twoich przyjaciół, a tak każdy z nas czwartą część tylko zapłaci. Tylko żebyś mi grubasów nie sprowadził, boby miejsca nie było. Wy trzech będziecie siedzieć na przodzie.

A gdy Henryk rad nie rad, kiwnięciem głowy dał znak, że przystaje, p. Jeremiasz tak dalej ciągnął:

— Czekaj na powóz z twoimi przyjaciołmi za rogatką. Nasze zdybanie na gościńcu, musi mieć pozór prostego przypadku a to dla pewnych powodów, rozumiesz. Więc gdy nadjedziemy, będziesz prosił ażeby cię przyjęto. Ja naturalnie nie będę chciał na żaden sposób na to pozwolić, lecz ty nic na to nie pytaj i nie ustępuj się, dopóki kobiety za tobą prosić nie będą. A że będą prosić, o tem jestem przekonany. Zresztą każdy za siebie będzie płacić w Mogile. Bo zdaje mi się mój Henryczku, żeby cię to nawet obraziło, gdybym ja chciał za ciebie, mającego dobre dochody, obiad płacić.

Henryk odszedł, a pan Jeremiasz wybiegł zaraz na miasto dla kupna wiktuałów i w celu zamówienia powozu.

Więc puścił się pędem na Kaźmierz, lecz jakoś zastanowił się stary sknera, że wózkiem żydowskim na żaden sposób nie wypada wieść swojej przyszłej żony.

— Ba, gdyby to już była moją żoną — mruczał sobie pod nosem, jechałaby tem czembym kazał, ale gdzie tam, nawet nie pozwoliłbym wcale jechać, ale teraz, to trudna sprawa. Ha! cóż robić! a wymówiwszy te słowa rozpaczliwym tonem, podreptał na powrót w rynek i zaczął targować dorożkę.

Natargowawszy się z ośmioma rzędem stojącemi woźnicami, zgodził ostatniego o trzy grosze taniej od poprzednich.

— Ha! niecnoty, rozbójniki, — mruczał pan Jeremiasz — o trzy grosze każą się całą godzinę targować, jakby to człowieka płuca nic nie kosztowały.

Z najęciem powozu było tyle biedy, cóż to dopiero z tortem będzie. Ułożył sobie już w głowie jego wysokość i objętość,— kupił od żołnierza komiśnego chleba, i zaniósł go wieczorem pod płaszczem do cukiernika.

— Mój dobrodzieju — mówił do tłustego ciastkoroba, klepiąc go poufale po ramieniu — czybyś mi pan nie był łaskaw wystrychnąć torcik... mały torcik, zgrabniutki torcik... chlebowy.

— Według życzenia pana dobrodzieja.

— Ale widzisz pan, ja tu do tego torcika przyniosłem materyalik maleńki. — Tu wyciągnął z pod płaszcza bochenek chleba, ale proszę pana łaskawego nie mieszać do tego żadnych mocnych korzeni... nie dla wydatku, ale żeby zdrowiu nieszko....

Gwałtowny śmiech cukiernika przerwał mowę panu Jeremiaszowi... a śmiał się rzetelnie, że aż się szyby trzęsły...

Goście wybiegli z pobocznego pokoiku i obstąpili obydwóch.

— Patrzcie panowie—mówił wśród śmiechu cukiernik, mam z tego bochenka chleba tort zrobić, dla tego jegomości...

Całe zgromadzenie wybuchło śmiechem.

Pan Jeremiasz niesłychanie skonfundowany, wydarł chleb cukiernikowi i wypadł jak oparzony ze sklepu.

Poszedł jeszcze do dwóch czy trzech innych, ale już nauczony, wywoływał ich przed drzwi, i na ulicy o wyrobienie przyzwoitego torcika z bochenka chleba traktował. (d. c. n.)

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**